Nr. 4. Lwów, 22. Października 1899. Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIII.

Numer pojedyńczy **20 ct.** z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

wychodzi na każdą niedzielę.

Ogłoszenia po 8 ct. od wiersza petitowego. Reklamy po 20 ct. 30 ct. i 50 ct. od wiersza.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *8 zl.*, półrocznie *4 zl.*, kwartalnie *2 zl.*, miesięcznie *70 ct.* W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie*. Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniezne. — Prenumeratorowie **roczni** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

*Redakcja i Administracja **Tygodnika Narodowego** we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

Siła woli, a utrzymanie zdrowia.

Że siła woli przy leczeniu chorób gra niapoślednią rolę, o tem ma sposobność przykonywać się codziennie, niemal każdy lekarz. Chorzy nie obdarzeni energiczną, lecz niewielką siłą woli, powolniej przychodzą do zdrowia, niż osoby energiczne, dopomagające naturze swą silną wolą.

Słynny myśliciel angielski Bulwer, nie bez słuszności powiedział, że „choroba rzadko przyczepiłaby się do nas stanowczo, gdybyśmy sami wiary w nią nie hodowali i nie podtrzymywali.“

Narody starożytne zresztą, przekonane były równie o władzy, jaką duch ludzki za pomocą silnej woli wywiera na ciało, na jego ułomność i choroby.

W naszych czasach, widzimy często przykłady cudownege prawie wyleczenia osób histerycznych przez to, że lekarze wmawiają im, iż choroba, czy ułomność po takim, a takim czasie ustąpi, pobudzają ich do wielkiego wysiłku, sprowadzającego istotne wyzdrowienie.

Czemże się dzieje, że zasób energji człowieka, stoi w prostym stosunku do jego odporności przeciw chorobom? Otóż, obieg soków w ciele naszem zależy od działalności mięśni, od zdolności wytężania ich, od ich sprężystości. Wola zaś nasza ma władzę nad wszelkimi ruchami ciała naszego, nad wszelkiemi jego narządami i członkami, od większej, lub mniejszej energji naszej zależy więc i sprężystość mięśni. Każdy zaś mięsień naprężony, wytwarza w ciele azot i ściąga krew do odnośnego naczynia. Azot musi być wydalonym z ciała, co się dzieje wydychaniem skórnem i płucnem. To zaś przyspiesza zamianę materji i obieg krwi. A im więcej wytwarza się azotu, który ciało musi wydalić, tem więcej potrzeba mu tlenu, wprowadzanego w krew przez oddychanie W ten sposób krew się oczyszcza, ujmowaniem azotu, a wprowadzaniem tlenu. Oczyszczenie krwi, jest pierwszym warunkiem wyzdrowienia z jakiejkolwiek choroby.

Tak tedy silna energjia działa wprost na oczyszczenie krwi, a tem samem na przyspieszenie leczenia. Jest to wnioskowanie jasne.

Choroby sercowe i płucowe są, jak wiadomo, w związku z pewnem zanieczyszczeniem krwi. Stąd też szczególniej osoby cierpiące na dolegliwości sercowe, lub początki choroby piersiowej, powinny pobudzać swą wolą, swą energję do żywszej, coraz żywszej działalności mięśni. Tem samem wywołają szybszy obieg krwi, szybszą zamianę materji i czynią ustrój odporniejszym przeciw chorobie, z czasem zaś zupełnie pokonać ją mogą.

Zrozumiałem nam jest teraz, dla czego osoby np. pochodzące z rodzin suchotniczych, ale chowane rozsądnie, od młodu przyzwyczajane do żywej działalności mięśni (do ćwiczeń ciała, ruchu na wolnem powietrzu), nie zapadają na chorobę piersiową, podczas gdy inne, zdrowych mające rodziców, ale wychowane tak, że mały tylko posiadają zasób energji, gdy się znajdą choć przez krótki czas, wśród stosunków niekorzystnych dla ich ustroju, zapadają na ową straszną chorobę.

Czemże utrzymujemy sprężystość mięśni? Wiadoma rzecz, że każdy członek ciała naszego, utrzymuje zdolność właściwego sobie ruchu częstem wykonywaniem tegoż, przyzwyczajeniem. Człowiek, którego przywiążemy na krześle przez kilka tygodni, po uwolnieniu z trudnością tylko stąpać będzie; człowieka zamkniętego przez długi czas w ciemnem miejscu, razi blask światła, trudno mu patrzeć na świat; wszelkie mięśnie, których nieużywamy, tracą coraz to więcej zdolność działania. Wiadomo, że w przyrodzie zdarzają się wypadki obumierania, zanikania wprost pewnych narządów, lub członków, gdy stworzenia nie mają sposobności ich używać.

Człowiek, chcąc żyć, jest skazany na ruch mięśni, bo ciało potrzebuje do życia ciepła, a ciepło to wywołuje ruch mięśni. Powinien więc człowiek utrzymywać swym mięśnion zdolność ruchu, powinien je ćwiczyć, nie chcąc, aby postradały swą zdolność.

Przyroda sama przypomina nam w razie potrzeby tę konieczność. Ma ona swoje środki obronne przeciw stężeniu, unieruchomieniu mięśni.

Jednym z takich środków, jest n. p. dreszcz, wywoływany w mięśniach w czasie mrozu. Ponieważ człowiek, dostatecznym ruchem mięśni nie dostarczył ciału potrzebnego ciepła, ustrój nasz owym dreszczem stara się wprawić w ruch mięśnie i wytwarzać cieplik. Naturalnie, dreszcz ów jest tylko sygnałem niejako ustroju naszego, podanym świadomości naszej, abyśmy wiedzieli, że ciału brak cieplika. Jest wtedy rzeczą świadomości, naszej woli, aby po owym dreszczu, chwilowym tylko i mały zasób cieplika wywołującym, natężonym ruchem mięśni większy, dostateczny zasób ciepła przysporzyć naszemu ciału.

Innym, podobnym ruchem ochronnym, sygnałem ostrzegawczym dla nas, jest drżenie kolan w chwili nagłego przestrachu. Przestrach bowiem wstrzymuje prawidłowy (normalny) obieg krwi, mówimy wprost, że w takich chwilach "brak nam tchu", ustrój więc nasz odruchem owym wywołując drżenie w mięśniach kolan, stara się pobudzić mięśnie do prawidłowego ruchu, by krew „zastygłą“, pobudzić do obiegu.

Powinniśmy zważać na owe odruchy ciała naszego, na owe sygnały ostrzegające i po otrzymaniu ich, świadomym już ruchem mięśni, pobudzić w sobie na nowo żywotne siły.

Wynika stąd, że dla utrzymania sprężystości mięśni, a tem samem dla utrzymanie zdrowia, należy tylko to spożywać, co ciało nasze może zużyć korzystnie, po części zaś bez trudności wydać z siebie. W ten sposób nie osadzają się w ustroju naszym ciała nie strawione, które hamują działalność mięśni i nerwów.

Wtedy tylko będziemy mięśnie nasze utrzymywać w potrzebnym ruchu, w należytem ćwiczeniu. Osoby mało energiczne, powinny się do tego początkowo zniewolić niejako świadomie, a z czasem coraz łatwiej, przyzwyczajona do tego wola, działać będzie na sprężystość mięśni.

Nie zapominać należy o tem, że osoby mało energiczne, nie dość ćwiczące swe mięśnie, zbyt łatwo nabierają dobrej tuszy, a dobra tusza przeszkadza im znowu do prawidłowego ruchu mięśni i czyni mniej odpornymi na rozliczne choroby, szczególnie też n. p. na przeziębienia.

Kto chce się utrzymać przy zdrowiu, kto chce ustrój uczynić odpornym na nagłe zmiany temperatury, na zakazki rozlicznych chorób, czychające na słabe ciała,

powinien energję swą jak nawięcej pobudzać do czynności, do ruchu.

Ruch — to zdrowie! Przyzwyczając się do ruchu, ćwicząc mięśnie nasze, niewalając się do tego świadomie, przedłużamy sobie życie. *Dr. Lekarz.*

Podwyższenie stopy procentowej.

Kiedy na wiosnę tego roku główny sekretarz banku austro-węgierskiego: p. Mecenseffy na posiedzeniu rady nadzorczej tegoż banku postawił wniosek, aby podwyższyć stopę procentową o $^1/_2$%, podniesiono ogromny krzyk, że jest to cofaniem się wstecz i, że dążyć do tego należy, aby zniżać stopę procentową, a nie dopuszczać do jej podniesienia.

Ponieważ wszystkie nasze instytucje finansowe są mniej, lub więcej zestosunkowane z bankiem austro-węgierskim, więc nic dziwnego, że wniosek p. Mecenzeffego wywołał i u nas szerokie dyskusje. Po wielu jednakże roztrząsaniach godzono się na to niemal zupełnie, że wniosek ten nie uzyska na walnem zgromadzeniu potrzebnej większości głosów i wkrótce zaprzestano mówić o całej sprawie.

Lecz nagle poglądy finansistów zmieniły się niespodziewanie. I nic dziwnego, bo stała się rzecz trudna do uwierzenia. Oto bank angielski, ten kolos finansowy, który daje ton wszystkim giełdom europejskim, uznał za konieczne podnieść stopę procentową o $^1/_2$%.

To wywołało, naturalnie, jeszcze większe wrażenie, aniżeli wniosek Mecenzeffego. Jakto, ta Anglja, która ciągle przodowała w obniżeniu stopy procentowej i doprowadziła do 3%, ta Anglja występuje nagle z podwyższeniem oprocentowania i to nie w formie projektu, ale zdefiniowanej ustawy.

W ślad za tem, bo może w kilkanaście dni, bank niemiecki ogłosił u siebie również podwyższenie stopy procentowej. To do reszty przekonało ludzi, że podwyższenie jest potrzebne i nieuniknione i, że bank austro-węgierski musi uchwalić projekt, który na razie wydawał się tak dziwnym. I rzeczywiście, na ostatniem walnem zgromadzeniu zgodzono się na podwyższenie stopy procentowej. W obec tego i inne mniejsze instytucje finansowe, które potrzebują bardzo często posiłkować się funduszami tamtych wielkich kolosów, zmuszone były popodwyższać u siebie stopy procentowe. Nakazuje to przezorność i proste obliczenie. Bo np., jeżeli jakaś mniejsza instytucja chcąc większymi kapitałami obracać, będzie czerpać z banku austro-węgierskiego fundusze na które *eo ipso* musi dać dobry t. z. podkład, toć przecie musi brać wyższy procent od swoich klientów, aniżeli sama opłaca. Postępując inaczej doznać by mogła kolosalnych strat, bo $^1/_2$% przy milionowych obrotach stanowi poważne sumy.

A teraz przypatrzmy się zkąd powstała ta tendencja na podwyżkę procentów i, co ją powoduje? Otóż, krótko mówiąc mamy obecnie za wiele kapitałów. Nie wynika z tego jeszcze, abyśmy twierdzili, że jesteśmy tak bogatymi, iż mamy za wielkie zapasy pieniędzy, bo wtenczas możemy zmniejszyć podatki, czerpiąc różnicę z narodowych banków. Nie. Jest inna przyczyna, a tą jest za małe uruchomienie kapitałów, to znaczy, że w bankach owych wielkich spoczywa dużo kapitałów, nie przynoszących żadnych procentów ponieważ nie są w obrocie. Ale od nich potrzeba także klientom, którzy je deponowali, płacić procenta. Jeżeli przypuśćmy dwie trzecie całego kapitału tu są uruchomione i zarabiają, a zaledwie jedna trzecia jest nieoprocentowaną, to już są straty, które tylko podniesienie o $^1/_2$% na kapitałach uruchomionych pokryć. jako tako można.

Lecz zkąd powstało, że w bankach europejskich nagromadziło się sporo grosza, który urochomić można?

Na to pytanie jest kilka odpowiedzi.

Najpierw nie pewna w ogóle sytuacja polityczna, która na rozwój handlu i przemysłu niekorzystnie wpływa, powtóre gromadzenie kapitałów w rękach ludzi, którzy nie chcą ich wkładać w przemysł, ale zalewają nimi banki, a po trzecie i, co najważniejsze: niezdrowe stosunki ekonomiczne i społeczne. One to w połączeniu z gründerstwem zepsuły kredyt, tak, że dzisiaj każda poważniejsza instytucja namyśla się dobrze i długo, zanim kredytu udzieli. Naprzykład u nas w Galicji natworzyło się ostatnimi czasy tyle banków, banczków, jakichciś stowarzyszeń kredytowych, że trudno policzyć. Takie przedsiębiorstwa psują interesy poważnym instytucjom, zabierając klientów, którzy — jako łatwowierni, dają się odzierać ze skóry. Takie stosunki wpływają bardzo ujemnie na wielki kredyt i, jeżeli tak dalej potrwa, to niezadługo stopa procentowa o $^1/_2$% podskoczy znowu. *F.*

Kronika niedzielna.

O moich kolegach i polenika. — Mikroby, wodociągi i lekarze. — Lochy i piwnice. — Nieco o dojrzałości.

Redakcja zastrzegła z góry, że *kroniki niedzielne* pisać ma czterech autorów na przemian i, że wolno im będzie nawet polemizować ze sobą.

Korzystając z tego przywileju zabieram głos, jako czwarty.

Otóż, pierwszy kronikarz napisał, że tak powiem — programową *kronikę* i do tego dodał coś w rodzaju własnego *credo*. Na pierwszę się godzę, ale po co drugie?... Przypuszczam, że o tych, którzy nie znają Krzywdzica wcale mu nie chodzi, co zaś do tych, którzy go znają, szanują i kłócą się z nim, nie potrzeba mówić, jakim on jest. A chociaż czasem ktoś obruszy się na jego złośliwość, na jego tu i ówdzie chwilowy pesymizm, to do rzeczy nie należy.

Drugą *kronikę* napisał Wicek. Pal go gwóźdź!... Wykręcił się sianem! Wprowadził sen, jakieś widziadła... Gładkie to, zgrabne, po literacku zrobione, ale — kochany kolego — to nie *kronika*.

Z trzecim *kronikarzem* nie mogę niestety, już polemizować, bo brakło go na zawsze pomiędzy nami. Ciężko pomyśleć, że zabrakło nam takiego Boleszczyca i jako człowieka, i jako dziennikara, i jako pisarza w ogóle, któremu »stosunki« wcisnęły do ręki — rewolwer...

Na innem miejscu obszernej o nim — ja mu też tylko składam serdeczny hołd koleżeński.

Przejdźmy ot lepiej do spraw aktualnych. Weźmy np. sprawę wodociągów lwowskich. Nie myślę tu poruszać kwestji czysto technicznych, ani też, czy woda będzie dobrą, czy plany są należycie wykonane, czy roboty postępują prawidłowo?... To są sprawy któremi zajmować się powinni nasi technicy. Ja tylko na tem miejscu pragnę podnieść sprawę leżącą nawet poniekąd w obowiązku kronikarza, a mianowicie:

Jest tu we Lwowie wiele osób, które utrzymują, że rozkopywanie obecne ulic w celu zakładania rur wodociągowych wywołało w naszem mieście choroby takie, jak: tyfus, malarja i t. p. Nic dziwnego też, że takie pogłoski utrzymujące się uporczywie, niepokoją mieszkańców i sprawiają, że jaki — taki człeczyna, któremu życie jest miłe, chociaż jest ogromnie ciekawy, jak też te rowy wewnątrz wyglądają, nietylko w nie zaglądnąć nie chce, ale omija je zdaleka, zatykając chustką nos i usta, aby mikrobów nie połknąć.

A przeciez Lwów ma stosunkowo sporą ilość lekarzy. Między nimi jest wielu, którzy interesują się stosunkami sanitarnymi miasta i zdrowotnością jego mieszkańców. Sądzę, że gdyby który z tych panów zabrał głos w tej sprawie i w jednem z pism zamieścił artykuł wyświecający, o ile takie pogłoski mają słuszną podstawe, lub nie, czy w danym razie to niebezpieczeństwo jest na dłuższy czas groźne i t. p., zrobiłyby tem całemu miastu prawdziwą usługę.

A więc czekamy!...

I zapewne nie doczekamy się, bo my umiemy wołać, ale najczęściej na puszczy. Przed kilkoma laty n. p. kronikarz ówczesny „*Dziennika Polskiego*" poruszył sprawę mieszkań stróżów kamienicznych; opowiadał o tych norach i piwnicach, w których ci ludzie żyją ze swemi rodzinami. Odezwa ta, jednak przebrzmiała bez odgłosu, a ci biedacy, jak mieścili się po norach, tak i dotąd w nich się mieszczą.

I gdyby to tylko miało miejsce w domach starych, w zaułkach, ale gdzie tam — w nowych kamienicach dzieje się to samo:

W takich ulicach, jak Mickiewicza, Kraszewskiego i t. p. przeważnie w piwnicach lokują stróży, a co gorsza zamieniają pozostałe części piwnic na mieszkania i wypuszczają je za czynsz lokatorom biednym. Ci biedacy, ani wiedzą, że tracąc zdrowie w tych norach, wytwarzają gniazda chorób zakaźnych. Lecz, niestety, ani świetna rada miejska, ani jw. prezydent nie chcą zająć się tą sprawą, chociaż znają ją i smutnie kiwają nad nią głowami. No, i kończy się na kiwaniu.

Nareszcie jeszcze jedna odezwa pod adresem tych panów, którzy zajmują się poprawnością polskiego języka. Otóż, mnie na razie chodzi o słowo »dojrzałość«. Jeśli mowa o brzoskwini, albo gruszce — dobrze, ale, jeżeli się czyta sprawozdanie n. p., że w żeńskiem seminarjum nauczycielskiem ukończyły studja i zostały uznane za: »znakomicie dojrzałe 3. panny, za dobrze dojrzałe 32 panien, a 7. panien uznano za niedojrzałe« — to mimowoli nasuwa się pragnienie: »Ach! czemuż nie należę do tej komisji dojrzałości!...«

Biednego kronikarza takie szczęście nie spotka..

Bagatela

Naszyjnik brylantowy.

Nowela
Guy de Monpasanta.
Przekład z francuskiego.
Wł. Str.

Była jednem z tych ładnych dziewcząt, urodzonych jakby przez pomyłkę losu, w ubogim domu urzędniczym. Nie miała żadnego posagu, żadnych nadziei, żadnych środków, aby być znaną, zrozumianą, kochaną, poślubioną przez człowieka bogatego i z wyższej sfery; wyszła więc za małego urzędniczka z ministerjum oświaty.

Była skromną w wymaganiach, gdyż nie mogła pozwalać sobie na zbytki — lecz czuła się nieszczęśliwą, wykolejoną. Kobiet bowiem nie można podzielić na kasty, ani rasy — ich piękność, urok, zastępuje im dobre urodzenie. Ich spryt wrodzony, instynkt do elegancji, subtelność rozumu, są ich jedyną hierarchją i kobiety niskiego urodzenia, stawiają na równi z damami wielkiego świata i wysokiej sfery.

Cierpiała nieustannie — czując się stworzoną do bogactwa i zbytku. Rozpacz ogarniała ją, gdy powiodła okiem po swem mieszkaniu: skromne urządzenie domowe, nagie ściany, stare i zużyte meble, liche gatunki materji — wszystko to czyniło ją nieszczęśliwą. Drobnostki, na które żadna z kobiet jej klasy nie zwróciłaby uwagi, bolały ją i sprawiały obrzydzenie. Widok jedynej służącej, napałniał ją niewytłómaczonym żalem i obudzał rojenia nigdy nie mające się urzeczywistnić. Marzyła o dużych przedpokojach, obitych wschodnią materją — oświetlonych mnóstwem świec płonących w kosztownych kandelabrach, o lokajach w jedwabnych pończochach — śpiących w głębokich fotelach pod wpływem ciężkiego ciepła kaloryferu. Marzyła o wielkich salonach, obitych starożytnym jedwabiem, o hebanowych meblach, pokrytych kosztownym adamaszkiem i o małych, wyperfumowanych gabinetach, przeznaczonych na rozmowę z najlepszymi przyjaciółmi — ludźmi znanymi i poszukiwanymi, o których zwrócenie uwagi na siebie, wszystkie kobiety się ubiegają.

Gdy siadała do obiadu, przy stole nakrytym poplamionym obrusem, naprzeciw męża, który zdejmując pokrywę z wazy mówił uszczęśliwiony:

— A, doskonały rosół — nie znam nic lepszego na świecie.

Marzyła o wystawnych obiadach, o błyszczących srebrach stołowych, o przepysznych tapetach — ożywiających ściany starożytnymi postaciami i niezwykłymi ptakami; marzyła o wykwintnych potrawach, podanych na sewrskiej porcelanie, o komplementach słuchanych z uśmiechem sfinksa, nie przerywając sobie jedzenia różowej ostrygi, lub skrzydełka pulardy.

Nie miała modnych tualet, ani kosztowności, a przecież, nic tak jak to nie lubiła — do tego czuła się stworzoną.

Ach! jakżeby chciała się podobać — być pociągającą i pożądaną.

Miała bogatą przyjaciółkę — przestała u niej bywać, gdyż widok zbytku, którym sama otoczyć się nie mogła, sprawiał jej niewysłowioną przykrość.

I płakała całymi dniami ze zmartwienia, z żalu, z rozpaczy.

* * *

Pewnego wieczora, mąż jej powrócił z biura z tryumfującą miną i już od progu pokazywał jej dużą kopertę.

— Oto przyniosłem coś dla ciebie — mówił — ucieszy cię to bardzo.

Z pośpiechem rozerwała kopertę i czytała na dużej karcie ze złoconymi brzegami:

»Minister oświaty i pani Jerzowa Rampauneau, mają zaszczyt zaprosić pana i panią Loisel na wieczór do pałacu ministerjalnego, w poniedziałek 18. stycznia«.

Zamiast się ucieszyć, jak się tego mąż spodziewał, rzuciła zaproszenie na stół z zapytaniem.

— Cóż chcesz, żebym z tem zrobiła?

— Jakto? Ależ moja droga, sądziłem, że cię to ucieszy. Nigdzie nie bywamy — to bardzo dobra dla ciebie sposobność do poznania wielkiego świata, który się tam zbierze. Niemało miałem kłopotów, aby otrzymać to zaproszenie. Wszyscy się o to ubiegają, a bardzo mało urzędników dostaje takie zaproszenia.

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem i zapytała:

— W cóż mam się ubrać na tę uroczystość? Nie pomyślałeś o tem wcześniej.

— Ależ suknia, w której bywasz w teatrze, wydaje mi się zupełnie dobrą...

Zamilkł osłupiały, widząc żonę płaczącą. Dwie duże łzy spływały jej po policzkach.

Zapytał z niepokojem:

— Co to jest? Co ci się stało?

Gwałtownym wysiłkiem opanowała wzruszenie i odrzekła spokojnym głosem:

— Nic mi nie jest. Tylko nie mam tualety — nie mogę więc wziąć udziału w tej uroczystości. Daj to zaproszenie któremu z kolegów, którego żona ma w co się ubrać.

Był przygnębiony.

— Zobaczmy, Matyldo. Ileż może kosztować przyzwoita suknia, któraby mogła ci służyć także później, przy innych sposobnościach — coś bardzo skromnego?

Pomyślała chwilkę, rachując w myśli i uważając przytem, aby wysokość żądanej sumy nie wywołała wprost odmowy i oburzenia oszczędnego urzędnika. W końcu odrzekła z wahaniem:

— Nie wiem na pewne, ale zdaje mi się, że wystarczyłoby czterysta franków.

Pobladł trochę, gdyż tę sumę właśnie odłożył sobie na kupienie strzelby, aby przez najbliższe lato co niedzielę chodzić z kolegami na polowanie. Pomimo tego, zgodził się na propozycję żony:

— Dobrze, dam ci czterysta franków, tylko staraj się mieć ładną suknię.

* * *

Dzień przyjęcia zbliżał się, a pani Loisel była smutną i niespokojną, pomimo, że jej toaleta oddawna była gotowa. Mąż zapytał ją pewnego wieczora:

— Co ci jest? Od kilku dni jesteś dziwnie usposobiona.

— To mnie martwi — odrzekła — że niemam żadnych kosztowności, nic do ubrania sukni. Będę bardzo ubogo wyglądać. Wolałabym raczej nie iść wcale na ten wieczór.

— Włożysz naturalnie kwiaty. Będzie to bardao dobrze wyglądać. Za dziesięć franków dostaniesz kilka ładnych róż.

Nie zgodziła się na to.

— Nie, niema nic więcej upokarzającego, jak wyglądać ubogo, pomiędzy osobami bogatemi.

— Jakaż ty jesteś nieporadna — rzekł mąż. — Idź do twój przyjaciółki, pani Forestier i poproś ją o pożyczenie bižuterji. Jesteś z nią na tak bliskiej stopie, że możesz to zrobić.

Zawołała z radością:

— Ach prawda! nie pomyślałam o tem.

Nazajutrz poszła do swej przyjaciółki i zwierzyła się jej ze swej troski. Pani Forestier otworzyła zwierciadlaną szafę, wyjęła z niej dużą kasetkę i poprosiła przyjaciółkę, aby zechciała sobie wybrać, co jej przypadnie do gustu. Były tam kosztowne bransolety, przepyszna kolja z pereł, krzyżyk wenecki, złoto i drogie kamienie przecudnej roboty. Wkładała na siebie klejnoty przed lustrem, wahała się, nie mogąc się zdecydować na rozstanie z nimi, na oddanie ich. Pytała ciągle:

— Czy nie masz już nic innego?

— Ależ mam. Szukaj. Niewiem, co ci się będzie podobać.

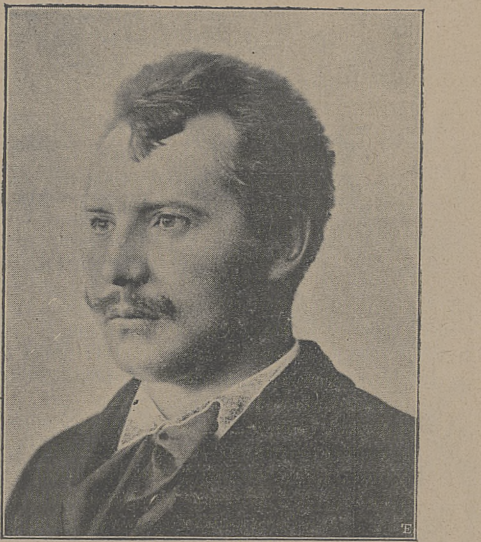
Naraz, odkryła w pudełku z czarnego jedwabiu przepyszny naszyjnik brylantowy— serce jej uderzyło żywiej na ten widok. Ręce jej drżały przy dotknięciu tych przepysznych kamieni. Zapięła naszyjnik na szyi, na wysoko zapiętej sukni i stała przed lustrem zachwycona sama sobą. Następnie zapytała z wahaniem i obawą:

— Czy możesz mi to pożyczyć — nic więcej?

— Ależ naturalnie i owszem.

Rzuciła się swej przyjaciółce na szyję, uściskała ją z uniesieniem i uciekła ze swym skarbem.

(Dokończenie nastąpi).



Jan Kasprowicz.
(Z fotografji Stella-Nikopoli we Lwowie).
Patrz sprawozdanie: *Bunt Napierskiego* w »Gazetce teatralno-artystycznej i literackiej«

WESOŁY KURJEREK.





Feministka.

Jestem sobie mamy córka,
W główce mam bławaty, piórka,
Śpiewam, gram na fortepianie,
Wstrętną kuchnia — gotowanie!

Jam tancerką niedościgłą!
Szyciem brzydzę się i igłą!
Bajki: wiara i pacierze!
W posag — zresztą w nic nie wierzę!

Znam romansów całe fury...
Z gramatyką... mam tortury!
Mąż mój będzie pełen treści —
Bohaterem, jak z powieści!

Zwać mnie musi cnót westalką,
A nie... trocinową lalką!
Córkę muszę mieć niezłomnie —
Co podobną będzie... do mnie!

Niezmienny.

Zdania moich przyjaciół.

Jak mi mówił Jaś Grzywiasty,
Co miał łeb na karku,
Gdzie się zbiorą trzy niewiasty,
Tam jak na jarmarku.
A jak mówił druh mój szczery,
Możny baron Abel,
Gdzie się zbierze niewiast cztery,
Tam jak w wieży Babel.

Kolka.

Młodość.

Młodość — to lato!
Cały miły boży światek,
Cieszy się śmieje, raduje,
Każdy ptaszek, każdy kwiatek
Pachnie — wyśpiewuje.

Młodość — to lato!
W błogiem lecie krótkie noce
Radość od smutku mocniejsza,
Niedola ma mniejsze moce —
Każda troska mniejsza.

Młodość — to lato!
Prędko dzień po dniu upłynął,
Już po młodości — po lecie!...,
A o czasie, który minął
Sen się tylko plecie.

Faust.



Echo październikowe.

Rozpoczyna się sezon rautów, koncertów, popisów muzycznych, posiedzań artystycznych i t. d. i t. d.

Na raucie, w salonie, odbywają się popisy muzyczne. Do fortepianu siada jakiś młodzian, który, pragnąc wywołać efekty piorunujące, z niesłychaną siłą tłucze w klawisze fertepianu.

— Ach — zwraca się wrażliwsza nad inne dama do sąsiada — co za gra! Co za siła!

A sąsiad westchnąwszy potężnie:

— Gdybyż chciał dać dowód tej siły przez... wyniesienie fortepianu z salonu...

De gustibus non est disputantum.

— Widziałeś Napoleona w obrazach Rexa?

— Widziałem, ale przyznam ci się, że wolę go w »Madame Sans Gêne«.

Z kim kto przestaje, takim się staje, czyli po powrocie z Zakopanego.

— Co się stało z Iksem?

— Spadł ze schodów.

— No i cóż?

— O, bardzo źle. Stłukł sobie czaszkę i złamał dwa żebra.

— Iii! rzecze z pogardą, ten który świeżo powrócił z Zakopanego — myślałem, że co poważnego!...

Uparty taksator ludzi.

— Kto jest ten starowina, który ledwie że nogami powłóczy?

— Oooo, to człowiek, który ma wielkie zalety!

— Chyba miał?

— Nie miał, lecz ma, bo teraz właśnie już się pozbył wszystkich dawnych swoich wad.

W miejscu kąpielowem podczas I. sezonu.

— Ależ tu u was szalona drożyzna!

— Proszę pana, gości niewiele, więc na targ jeszcze mało produktów przywożą.

Tamże w sezonie II-im.

— Ależ tu u was szalona drożyzna!

— Proszę pana, gości taka masa, więc na targu niczego dokupić się nie można.

Gdzie nie można przeskoczyć, tam podleść trzeba.

Ajent win, którego pan baron nie kazał od dawna wpuszczać do siebie, dzwoni do przedpokoju. Otwiera mu lokaj.

— Pan baron w domu?

— Niema.

— Ależ widziałem pana barona przez okno.

— To wejdź pan oknem...

Argument obrazowy.

Nieszczęsny nauczyciel muzyki, odbywa dziś ósmą z kolei lekcję. Nic dziwnego, że świat nie przedstawia mu się w barwach różowych.

Nadomiar, uczennica w szalonem jakiemś tempie gra *Adagio* z sonaty Webera.

— Wolniej, wolniej — upomina nauczyciel.

Uczennica pędzi, jak pędziła.

— Ależ na miłość boską — woła *maestro* — wolniej! Czy pani sądzi, że to sonata... elektryczna?!!

Z pamiętników terminatora.

Poniedziałek. Taki ci majster wrócił do warśtatu zły, jak pies.

Majstrowa na majstra, majster na majstrową, a jak się wzieni ujadać, to im się gęby popieniły, jak kiedy rzeka zacznie chybko przybierać.

Majstrowa majstrowi sprawiła lanie, a majster ze złości, okrutnie mnie pobił.

Wtorek. Jakoś ci po wczorajszem laniu, majster się przyłasił. Majstrowa za to donderowała bez cały dzień. Majster ciągiem majstrowej przypodchlebiał i nawet bez przypodchlebstwa pobił mnie za to, żem się gapił na majstrowę.

Środą. Starszy syn majstrów Walek, pożarł się z młodszym synem Jaśkiem — i pobili mnie oba, żebym się do nich nie wtroncał.

Czwartek. Majstrowa znów od samego rana zaczęła się indyczyć i wybiła mnie, sam nie wiem za co.

Piątek. Pan cieladnik kazał mi podeszwy lepić i sam sobie świsnął na miasto, a jak przyszedł, to mnie wybił za to, że go majster sfutrował.

Sobota. Ta paskudna kucharzyca, ten stary garkotłuk, ja do niej powiadam, czy to ten pompier, to panny Hani kuzyn? — a ona mnie buch w kark! i tak ci mnie biła, aż się zeziejała, jak ta škapa, co wygrała na wyścigach.

Niedziela. Majstrowie sobie wyciągnęli z wielką paradą, a mnie kazali pilnować ich córki Wiktorki. Wiktorka, to taki ci bech niesłuchający, jak zaczęna się śpinać po wyszkach, tak stłukła Napoljona, co stał w butach i stósowanym kapeluszu.

Jak majstrowie przywlekli się do domu, to mnie jeszcze nigdy tak jak dzisiaj nie pobili, za to, żem nie pilnował Wiktorki.

Pytania i odpowiedzi.

Jaka jest różnica między upadłym aniołem, a dziesiątką?

Prawie żadna — i jedno i drugie przez tysiące rąk przechodzi, tylko dziesiątka nie tak prędko się ściera.

* * *

Co to znaczy wpaść ze Scylli w Charybdę?

To znaczy to samo, co uciekakając przed wierzycielem, wpaść w objęcia egzekutora.

Niepotrzebna obawa.

— Zlituj się żono! nie chodź tak publicznie pod rękę z tym Karolem. Najniepotrzebniej kompromitujecie się oboje.

— E! mój drogi — on już nic nie ma do stracenia.

Epidemiczne kalectwo.

— *Litościwa osobo, poratuj nieszęśliwego kalekę.*

— *Jakiż ty jesteś kaleka, wyglądasz doskonale.*

— *Ja też, szlachetna osobo, tylko na kieszeń kalekuję, sierota.*

Iskierki.

Ton bardzo wysoki.

Syn (lat 10). Mamo, patrz na tych drwali, jak pracują. Każdy z nich splunie w dłoń i rąbie drzewo, aż drzazgi lecą!

Mama (patrząc przez lornetkę). Tak, mój synu i my potem musimy się grzać przy takiem obrzydliwem drzewie...

Ślubna sukienka.

Powiastka z warszawskiego bruku
przez
Annę Neumann.
(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 3).

Wkrótce potem Janina znalazła się w swej izdebce; ślubna sukienka starannie rozłożona na białej serwecie, leżała przed nią, ale Janina nie była w stanie rozpocząć robotę. Uklękła przed swem łóżeczkiem, głowę oparła o poręcz i ciche łkania wydobywały, się z jej piersi.

— Matko! ratuj mnie. Boże! litości! — wołała chwilami.

Była to cało jej modlitwa — na inną zdobyć się dziś nie mogła. I długie, długie godziny przeleżała tak bezprzytomna prawie; w końcu zerwała się, gdy dzwonek kościoła odezwał się na Anioł Pański. — Drżała, jak w febrze, choć gorączkowy rumieniec twarz jej palił; bezwiednie do zwykłych powróciła zajęć: wyjęła parę węgielków z koszyka, stojącego pod oknem, rozżarzyła ogień w piecyku, przysunęła garnuszek z wodą do ognia i usiadła do roboty.

Szyła szybko, z gorączkowym pospiechem, czasami tylko przerywając sobie robotę aby dorzucić węgli do piecyka i poprawić ogień, albo opłukać ręce. Noc była późna, gdy wreszcie dokończyła haftu. Ze smutnym uśmiechem przyglądała się teraz przecudnej srebrzystej materji.

— O! gdybym tak przemierzyła tę suknię, aby wiedzieć, czy się dobrze układa; gdybym tak choć na chwilkę włożyła ją na siebie? — ciekawam, czy by mi także w niej było tak ładnie, jak tamtej pannie. Czy ona istotnie piękniejsza o wiele odemnie... cóż on w niej widzi, że ją tak kocha — i stanąwszy przed malutkiem zwierciadełkiem, wiszącem na ścianie, zaczęła szybko rozplatać swe jasne warkocze i układać je tak, z jej nosiła Jadwiga. Poczem zrywając z siebie swe czarne wytarte ubranie, cisnęła je w kąt, jak gdyby ze wstrętem i lekko narzuciła na ramiona bogatą suknię Jadwigi. Suknia leżała składnie, jak gdyby na nią była zrobiona.

— Jakaś ty piękna — mowiła do siebie, nieprzytomnie.

I piękną była istotnie w tej chwili, ale jakąś straszną, chorobliwą pięknością. Twarz jej pałała, oczy błyszczały gorączką, a usta uśmiechały się rozkosznie prawie! Dziewczyna wspięła się na palcach, aby lepiej się przejrzeć w lusterku, poprawiła fałdy sukni... w ten syknęła głośno z bólu i z przestrachu. Ukryta pod fałdami śpilka, zadrasnęła silnie jej rękę. Nie byłaby zwracała na to uwagę, ale w tejże chwili szerokie krople krwi spadły na biały atłas i ciemną rubinową świeciły plamą.

Janina osłupiała, spojrzała na tę straszną krwawą plamę, potem rękę podniosła do czoła i rozcierać je zaczęła, bo czuła, że szał jakiś ogarnia ją powoli. — Głowa bolała ją strasznie, myśli się plątały.

Zkąd ta krew? czy to krew jej serca, — które ludzie rozdarli, zdeptali. A ten strój ślubny cóż znaczy? kto ją tak ubrał? dla czego? po co? — Tak, tak, teraz przypomina sobie: Wszak ona dziś widziała Henryka; on przyjdzie po nią za chwilę i pieścić ją będzie... i staną oboje przed ołtarzem, wszak to dziś dzień jej ślubu... lecz skąd to ta plama na sukni... trzeba ją zetrzeć, aby Henryk nie widział... I zaczęła chusteczką plamę wycierać silnie, ale krew wsiąkając w jedwab, coraz to serszą smugą występowała, a i na lice Janiny coraz krwawszy wybiegał rumieniec.

— Jak tu duszno, jak tu gorąco — zawołała nagle — poco te węgle się żarzą... trzeba je zgasić, zgasić. I szeleszcząc jedwabiem, pobiegła do piecyka, nagłym ruchem zasunęła zasuwkę od komina nie zważając, że płomień nie zagasł jeszcze. Silny swąd napełnił wnet izbę, a z piecyka wydobywał się dym siny.

Dziewczyna usiadła przd stołem, głowę oparta na dłoni i patrzyła przed siebie błędnemi oczami, szepcząc czasami ciche słowa.

— Mamo... mamo... czemu ty płaczesz... wszakże jam szczęśliwą... wszak idę do ślubu. Ktoś idzie... to on... słyszę jego kroki... Mamo! to Henryk... otwórz... otwórz, ja nie mogę...

— Ach, jak mi głowa cięży... tchu mi braknie otwórzcie!...

Głowa jej opadła na piersi, z ust bryzgnęła piana, chciała zerwać się z krzesła, aby pobiedz ku drzwiom, ale nie stało jej siły; zatoczyła się i całym ciężarem runęła na podłogę.

Coraz silniejszy zaduch napełniał pokój cały, a kłęby błękitnego dymu unosiły się dokoła. Stojąca na stole lampa, coraz to słabszym tlała płomieniem, wreszcie zagasła zupełnie. W ciemnym pokoju słychać było tylko chrapliwy oddech konającej dziewczyny. Wreszcie i to ucichło i cisza śmierci zaległa w ubogiej izdebce sieroty.

* * *

Nazajutrz, pani Walerja napróżno czekała na ślubną suknię panny W...

— A to niezdara dziewczyna, — wołała co chwilę panna Marja.

— Ale przecież haft ślicznie wykończyła — odezwała się jedna z pracownic.

— Et! wielka sztuka, że ją trochę tam szyć nauczono, ale dziewczyna bałwan. Wczoraj u hrabiny, to tak stała, jak ta lalka z drzewa.

Parsknęły śmiechem dziewczęta; kiedy jednak południe minęło, a Janiny widać nie było, wysłano posługaczkę Jagusię na Stare Miasto. Stanąwszy w bramie wskazanego jej domu, zdziwiła się Jagusia, ujrzawszy tłum ludzi w sieniach i na schodach. Nie mogąc odnaleść stróżki, weszła na piewsze piętro, tu znów zatrzymało ją dwóch policjantów.

— Nie można wejść, aż pan komisarz pozwoli.

— Ależ ja wejść muszę, bo tu mieszka hafciarka, a pani nasza jej dała robotę...

— A toż to ta panna, co umarła, była hafciarką — odezwał się w tej chwili głos kobiecy z tłumu.

— Jakto umarła? o la Boga!

— Oj! umarła! umarła! struła się czadem węglowym, bo izba aż ciemna od dymu — wtrącił jeden ze stojących w sieni mieszczan.

— Bo to widzicie, ta panna byłu trochę tak... tego... — tu wskazał palcem na czoło. — Chodziła taka smutna; taj ubrała się, kieby do ślubu, w taką śliczną jedwabną suknię, co ją hawtofała...

— O! Jezu! Reta! taż to suknia panny hrabianki pewnikiem; — zapiszczała Jagusia.

— A co tam; czy nie przyszedł kto dowiedzieć się o suknią? — odezwał się z góry głos donośny i otyły mężczyzna ukazał się w niskich drzwiach, wiodących do izby Janiny.

— Ot właśnie, jakaś tu panna pyta o tę hafciarkę, co umarła, proszę pana komisarza.

I wprowadzono pobladłą, wystraszoną Jagusię do izby.

— Proszę wejść — zakomenderował komisarz.

Na widok leżącej w środku pokoju Janiny, Jagusia załamała ręce.

— Jezus Marja! toć to nasza suknia.

— Czyja suknia — mówcie że wyraźnie — rzekł komisarz i wyjąwszy książeczkę z kieszeni, zapisywał starannie każde słowo dziewczyny wypytując o adres pani W...

Jagusia wymknęła mu się jednak jak naśpieszniej, aby pobiedz do magazynu z językiem.

Któż opisze przestrach pani Walerji. W tejże chwili wsiadła sama do dorożki i kazała się wieść do hrabiny. Uprzedził ją jednak komisarz policji. W krótkich słowach opowiedział hrabinie o całym nieszczęsnym wypadku, podając jako prawdopodobny powód samobójstwa Janiny, ową plamę krwawą na sukni, przestrach, a może i nędzę dziewczęcia. Zapytał przytem, jaka mogła być wartość sukni. Hrabina tak była wzruszona i przerażona, że w pierwszej chwili nie mogła przyjść do słowa. Wezwano Henryka do narady, przed Jadwigą zaś chciano z początku zataić rzecz całą, ale było to niemożliwem; ślub miał się odbyć nazajutrz, a druga suknia tak prędko nie mogła być gotową.

Pani W... wyszła więc z pokoju, aby Jadwigę o wszystkiem uwiadomić i uspokoić ją zarazem, gdyby ją to dziwne zdarzenie nadto wzruszyło.

— Jak nazwisko tej dziewczyny? — zapytał nagle Henryk komisarza.

— Janina Milecka — odpowiedział tenże.

Mimowolny okrzyk: »Ah« — wyrwał się z ust Henryka; zmieszał się bardzo, chcąc ukryć jednak przykre wrażenie, wstał szybko, aby podać gościowi cygara. Pomieszanie jego i bladość nagła twarzy, nie uszły bacznemu komisarza oku.

— W tem jest coś — szepnął sam do siebie i zaczął uważnie przypatrywać się młodemu człowiekowi. — Hm... i ta sama zupełnie podobieństwo do tej fotografji, którą u tamtej dziewczyny znaleśliśmy. Może ja się mylę, ale to przecież dziwne... No, no! wylezie szydło z worka; dowiemy się prawdy, dowiemy.

W tej chwili jednak weszła do pokoju Jadwiga blada, zmieszana, przerażona. Wrażliwa z natury i nieco przesądna, uważała cały ten wypadek za złą wróżbę na przyszłość, za przestrogę niebios.

— Czy pan myślisz — zapytała komisarza — że istotnie tylko ta plama krwawa, z zadraśniętej pochodząca dłoni, była powodem samobójstwa? To niepodobna. Taka drobnostka!

— Być może, iż były inne ważniejsze powody — odparł urzędnik, patrząc znacząco na Henryka — śledztwo wykryje prawdę. Nam chodzi teraz tylko o dowody, czy suknia należała do pani i o to, czy pani żądasz zwrotu sukni, lub wynagrodzenia za szkodę wyrządzoną.

— Odpowiedź na pierwsze pytanie, znajdziesz pan w magazynie pani Walerji. Sukni tej jednak, użyć bym nie mogła

przecież, niech więc panowie będą łaskawi tę biedną dziewczynę... tak w tym stroju pochować... niech ją tak złożą do trumny... Może to Bóg mnie przestrzega... może i dla mnie strój ten miał być strojem śmierci..

Tu łzy przerwały jej mowę, Henryk rzucił się ku narzeczonej, aby ją uspokoić. Urzędnik zaś zwrócił się ku oknu, aby nie patrzeć na czułą tę scenę. Po chwili jednak, spojrzawszy na zegarek, zbliżył się do Henryka:

— Chcąc oszczędzić trudów pani Witoskiej, bądź pan tak łaskaw pojechać ze mną na miejsce wypadku. Jesteś nam pan koniecznie potrzebny — dodał z przyciskiem. (Dok. nast.)

O ubezpieczeniach od ognia i na życie.

(Dokończenie. Patrz Nr. 3.)

Statystyka naszych pożarów i szkód przez nie zrządzonych, jest wprost przerażająca. W przeciągu trzydziestu lat, od roku 1865 do 1894, straciliśmy w skutek pożarów 66.891,735 złr. mienia. W tymże czasie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, w którem przeważnie kraj nasz od ognia jest ubezpieczony, wypłaciło wynagrodzeń w kwocie 28,866,258 złr., to znaczy, że, licząc odszkodowania, wypłacone przez inne zakłady asekuracyjne, które zresztą dla zysków tylko u nas operują na parę miljonów złr., niepokryły one szkody, bo mienia bezpowrotnie zniszczonego, pozostaje przeszło 38 miljonów złr. Roczniki statystyki Galicji podają wiele cyfr przestrach budzących, z których przekonać się łatwo, że nie wypada, nie godzi się sprawy piekącej odkładać z roku na rok. Kwestja przymusowego ubezpieczenia od ognia, o której załatwienie sama groza następstw zbyt częstych pożarów u nas nagląco się dopomina, musi być jak najrychlej załatwiona, do czego nasza najwyższa magistratura krajowa wszelkich możliwych starań dołożyć powinna.

Jako drugą naglącą sprawę, potrzebną niezbędnie dla poprawy stosunków ekonomicznych u nas, uważam zorganizowanie i upowszechnienie ubezpieczeń życiowych dla ludu. Potrzebę tę wywołuje starość, niedołęstwo i nieudolność do pracy, n następnie śmierć głowy rodziny, jak nie mniej ustawą dozwolona podzielność gruntów. Dowodzić mych twierdzeń nie potrzebuję. Przemawiają one same za sobą. Wieśniak, jak to już na wstępie nadmieniłem, nie pozostawia swej rodzinie nic nad zadłużoną ziemię, a jakie obowiązki spadają na spadkobiercę głównego, jest rzeczą ogólnie znaną.

Kombinację ubezpieczeń życiowych, w formie rent dożywotnich i kapitałów pośmiertnych, z ułatwionym kredytem hipotecznym, a tem samem łączność zakładów kredytowych z zakładem krajowym dla ubezpieczeń na życie, uważam za jedyną drogę do dźwignięcia stanu rolniczego i umożliwienia ratowania ziemi ojców.

Same instytucje kredytowe nie czynią zadość potrzebom, bo te ułatwiają tylko kredyt, a obciążając ziemię, nie dają wieśniakowi w rękę funduszów do możliwego uwolnienia jej od ciężaru.

Praktyczni anglicy ocenili już przed 50 prawie laty doniosłość ludowych ubezpieczeń na życie i do świetnych doszli rezulltatów. Angielskie Towarzystwo ubezpieczeń na życie: »Prudential« w Londynie, wykazało za rok 1898 ubezpieczonych drobnych kapitałów w oddziale ubezpieczeń ludowych na pokaźną kwotę 1.467,411,468 złr. Obok tego zakładu, operuje w Anglji na polu ubezpieczeń ludowych 51 innych instytucyj, ktore zapewniając swoim zabezpieczonym drobne kapitały — pobierają premje wynoszące przeciętnie około 10 centów tygodniowo. Jakiejż to dobrodziejstwo dla wieśniaka, lub zarobnika, ktory wie, że rodzinie swej byt zapewnił i ochronił ją od nędzy nawet wtedy, gdy go już nie stanie.

Do poruszonych tu przezemnie spraw, celem szczegółowego ich omówienia powrócę jeszcze w najbliższych numerach »Tygodnika«.

J. Swój.

Krajowa wytwórcza Spółka przyborów szkolnych, w obec nauczycielstwa.

Myśli się wciąż i pisze o poprawie doli nauczycieli ludowych, ale wszystko, jak dotąd, kończy się tylko na pisaniu i myśleniu. Nauczyciel, odgrywający w ustach humorystów rolę »głodomora - djurnisty«, znajduje wprawdzie u społeczeństwa słowa uznania i podziwu, ale aby coś zrobić dla poprawy doli tego stanu, nie stać naszych polityków. — »Kraj za biedny« — to ich jedyna odpowiedź.

Samopomoc już w niejednym zawodzie dużo dobrego zrobiła. Podobnie do jednego nauczyciela przylgnęła myśl, coby to takiego zrobić, by temu stanowi nauczycielskiemu, pracującemu bez widoków pewnego jutra, pracującemu ciężko, wśród bardzo trudnych życiowych warunków, choć nieco dopomódz. Temu nauczycielowi przyszła myśl, czyby nie można założyć bursy i stworzyć fundacje stypendyjne dla dzieci nauczycieli. Ale jak?... Zeby się gdzieś postarać o potrzebne fundusze, to bardzo trudne. W logicznym łańcuchu myśli, wpadł on ostatecznie na pomysł, jak sądzi, zupełnie odpowiedni. Doszedł do przekonania, że trzeba stworzyć instytucję, mającą pewne widoki powodzenia, za pomocą której zebrane dochody mogłyby być pierwszą cegiełką do stworzenia tego, czego tak bardzo nauczycielstwu potrzeba: i *bursy i fundacji stypendyjnej dla dzieci nauczycielskich.* W dodatku chodziło o to, aby na powodzenie takiej instytucji mogło wpłynąć *samo nauczycielstwo.*

W ten sposób powstała we Lwowie „*Krajowa wytwórczo-handlowa Spółka przyborów szkolnych*“ — a jej inicjatorem jest właśnie nauczyciel ludowy, p. *Mikołaj Budzanowski.*

Grono poważnych osobistości zajęło się zorganizowaniem tej instytucji, zrozumiawszy, że istnienie jej może przynieść wielkie korzyści także i krajowi. A tem żywiej ludzie ci zajęli się ukonstytuowaniem tego stowarzyszenia, że ono ma wszelkie widoki powodzenia i to nie gdzieś w dalekiej przyszłości, ale już zaraz. Dlaczego?

W kraju naszym, możemy już dzisiaj wytworzyć wszystkie te przybory, z wyjątkiem piór jedynie i ołówków. W przyszłości i temu się zaradzi. Na razie mamy własne papiernie, własny przemysł drzewny, atrament możemy wyrabiać, również piórniki, rysownice itp., a za te materjały, obecnie wychodzi z kraju rok rocznie parę milionów złotych reńskich.

Jeśli „*Spółka*“ znajdzie poparcie, jakiego się spodziewa, okazać się powinno już w pierwszym roku, że zagraniczni przemysłowcy wywieźli z kraju o połowę mniej pieuiędzy, jak dawniej. Ta druga połowa stworzy ogniska pracy i zarobku dla setek rodzin i przyniesie dochód „*Spółce*“, jako kapitał zakładowy funduszu, z którego powstać mają bursy i fundacje stypendyjne dla dzieci nauczycielskich.

Statut, a mianowicie § 71 statutu powiada w ustępie: »Rozdział zysków«: z czystego zysku wydzielać się będzie dywidendy, a resztę na »inne *cele ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb nauczycielstwa*, uchwałą Ogólnego Zgromadzenia wskazane«.

Towarzystwo „*Spółki*“ wiedząc nazbyt dobrze, że jedynie altmistyczna idea popierania przemysłu krajowego, powodzenie jej nie zapewni, wygotowała oferty do kupców i wszystkich, trudniących się handlem przyborami szkolnymi z zawiadomieniem, że odsprzedającym materjały dostarczane przez „*Spółkę*“, udziela się takiego samego procentu, jakiego udzielają im zagraniczni przemysłowcy, z tym korzystnym dla nich dodatkiem, że koszta przewozu stanowić będą dla nich znacznie mniejsze wydatki.

Ponadto, Zarząd „*Spółki*“ zamierza za szczególnem porozumieniem udzielać nauczycielom pełnomocnictw, do tworzenia zastępstw powiatowych, a zastępstwo takie może przynieść znaczne nawet dochody, w miarę gorliwego zajęcia się sprawą. Prócz tego, każdy z nauczycieli, przystępując w charakterze członka do „*Spółki*“, może uzyskać przy sprzedaży produktów tego stowarzyszenia nowe źródło dochodów.

Ze względu, że „*Spółka*“ jest stowarzyszeniem nie akcyjnem, ale udziałowem, cała jej siła finansowa polega na wkładkach członków, przyczem zauważyć należy, że w myśl § 58 statutu, odpowiedzialnym jest każdy członek jedynie tylko do wysokości sumy udziału, wobec czego każdy nauczyciel członkiem „*Spółki*“ być może i powinien. Udział wysokości 10 zł. nadaje prawa członka, określone paragrafami statutu, i uprawnia do poboru dywidendy, która już po pierwszym roku, pessymistycznie nawet się zapatrując, może być wcale znaczną.

Wobec takiego ustroju „*Spółki*“, koniecznem jest gorące poparcie jej przez ogół — wszyscy, którym dobro przemysłu krajowego i wzrost dobrobytu społeczeństwa na sercu leży — wszyscy, co odczuwają, jak anormalnym, na wskróś ekonomicznie niezdrowym jest fakt, że rok rocznie krocie wywożone są z kraju, choć mogłyby w nim pozostać, powinni przystępować do „*Spółki*“, powinni ją wspierać gorliwie — a cóż dopiero nauczyciele, dla których wyłącznie „*Spółka*“ stworzoną została. *Wszak jest ich około dziesięciu tysięcy* — a to potęga!

Nauczycielstwo, mogące wpływem swoim tyle dla tej sprawy dobrego uczynić, powinno cele „*Spółki*“ jak najgoręcej popierać, bo popierając je, pracować będzie równocześnie dla siebie, i *samo sobie stworzy i bursy i stypendja* bez prośby o jałmużnę, czy pomoc. Nauczyciel jest obywatelem kraju, powinien zatem budzić również poczucie obywatelskie i w dzieciach. Niech już dziecię uczy się myśleć o popieraniu przemysłu krajowego.

W Czechach, temu lat kilka, powstało stowarzyszenie podobne do „*Spółki*“, a dziś już wszystkie przybory szkolne, sprowadzane tam dawniej, jak i u nas, z zagranicy, wyrabiane są w Czechach. Stało się tak, bo cele tego stowarzyszenia poparł cały ogół: *wszyscy, którzy dbają o rozwój ojczystego przemysłu, przystąpili do stowarzyszenia, jako czynni członkowie. Siła finansowa* „*Spółki*“ opiera się wyłącznie tylko na pieniężnych wkładach członków. Na liście tedy członków, powinny się niebawem znaleść *nazwiska wszystkich tych, którym dobrobyt społeczeństwa i rozwój krajowego przemysłu leży na sercu, a tem bardziej nauczyciele bez wyjątku.* *M. B.*

W lot.



† Teofil Szumski.

W krwi serdecznej należy maczać pióro, pisząc to wspomnienie pośmiertne. Nieubłagany tragizm oplątał życie ś. p. Szumskiego, który posiadał wszystkie warunki, aby świecić na wybitnem stanowisku. Jakieś niewidzialne ręce ściągały go bezustannie z tego posterunku. Bronił się, szamotał — na chwilę zwyciężał, aż wreszcie, widocznie, uczuł w sobie sił za mało, ale jeszcze na tyle, że nie dał się ludziom powalić o ziemię, lecz sam poszedł pod nią... Więc niby nie szukać winnych śmierci tego człowieka, który w najcięższych dopustach — w nędzy, był chlubą swego narodu, kochał go bez żadnych zastrzeżeń, niósł mu swój talent, wiedzę, cierpienie, pracę — wpychał w siebie gorycz życia, aby na usta nie wybiegła zwątpieniem i nie osiadła szronem pesymizmu na cudzych sercach — niema winnych jego śmierci? To się tak stało: dwa razy dwa — cztery?... Nie.

Samobójcza śmierć Szumskiego jest piętnem hańby dla naszych stosunków. Jakie stosunki? na dwóch nogach chodzące?..

Znalazłyby się i takie..

Ale Bóg tam wszystko każdemu policzy... I ten morderczy rewolwer, kupiony za ostatnie pieniądze, rzucony zostanie na szalę... Zaciąży on, ale nie na sumieniu nieboszczyka...

Redakcja *Tygodnika Narodowego*, do której właśnie jako współpracownik ś. p. Szumski wstąpił, a z którego pracami czytelnicy mieli sposobność w bieżących numerach spotkać się — traci, nietylko dzielnego towarzysza pracy, lecz serdecznego przyjaciela, który umiał odczuć, i to, co boli, i to, co cieszy i nigdy swoimi troskami nie chciał zachmurzać cudzych horyzontów, a przez okulary własnych cierpień i zawodów, na nikogo i na nic nie spoglądał...

Kronika niedzielna podpisana pseudonimem Boleszczyca, zamieszczona w poprzednim numerze *Tygodnika*, była ostatnią literacką pracą nieboszczyka — pisał ją w czwartek, a zatem w przeddzień zgonu... W piątek, w ów dzień fatalny, ś. p. Szumski, o godzinie 4-ej z południa był z redaktorem *Tygodnika* i z dwoma innemi osobami w cukierni Bienieckiego na czarnej kawie. Rozmawiano swobodnie o sprawach oddalonych — umówił się nawet z redaktorem, że będzie pisał sprawozdanie, właśnie w tym tygodniu o dramacie Kasprowicza: *Bunt Napierskiego*. Mówiliśmy o jego dramacie historycznym: *Bolesław śmiały*, którego wystawieniem na naszej scenie przyrzekłem mu się zająć. Nie był wcale roztargniony — tylko z niechęcią przyjmował pieniądze, które wręczono mu z rachunku. »Mnie nie potrzeba dziś«... mówił. To było o godzinie 4-ej po południu, a o 7-ej wieczorem już nie żył. Rewolwer znaleziony przy zwłokach, był zupełnie nowy...

Nieboszczyk zostawił bardzo obszerny list do żony, w którym podane są wszystkie te szczegóły, co się przyczyniły do nieszczęścia w rodzinie. Ludzie zamiast spychać ten kamień.. przyciskali go jeszcze bardziej... O ile z tej spowiedzi nieboszczyka rodzina będzie uważała za stosowne publicznie skorzystać — nie do nas należy, ale, że ludzkie sumienie nad ostatnią skargą polskiego literata, schodzącego do grobu z rewolwerem w ręku, nie może, a przynajmniej nie powinno przejść do porządku dziennego, to chyba przyzna każdy, komu piersi filisterskie miękkie wygody życia bez trosk sianem nie zapchało...

Och ten porządek dzienny!... Wartoby go nieraz przewrócić do góry nogami, aby właśnie, był porządek w życiu!... Pod wrażeniem tej ciężkiej straty, tego głębokiego bólu — piszemy na razie to wspomnienie pośmiertne zamieszczając wizerunek zmarłego. O spuściźnie literackiej ś. p. Teofila Szumskiego, która jest znaczną i nie zwykłą, podamy osobny artykuł na podstawie danych, jakie otrzymamy od rodziny zmarłego. Tej rodziny doświadczonej nowym dopustem bożym tak strasznym, że na ustach zamierają wyrazy współczucia — nie śmiemy pocieszać. Ból, cierpienie, żal — mają swoje święte prawa. Niechże w obowiązkach życia i dla narodu, którego zmarły był najlepszym synem i chlubą, znajdą ukojenie.

Cześć przezacnej i świętej pamięci polskiego literata, co służył Bogu i ojczyźnie do ostatniego tchu życia!...

═ Boerowie.

Wojna w Transwaalu, zwróciła uwagę powszechną na ten kraj w skwarnej Afryce. W poprzednim numerze podaliśmy opis Transwaalu — dziś dajemy bliższe i interesujące szczegóły o jego mieszkańcach, zwanych boerami. Oto co pisze o nich jeden z dziennikarzy polskich, który niedawno odwiedził dr. Marcinkowskiego podróżnika, który dłuższy czas p zebywał w Afryce wśród boerów.

Widziałem boerów (czytaj burów), stykałem się z nimi lat kilka i przekonałem się, że jest to naród dzielny, patrjotyczny, wojowniczy, ożywiony, ideą niepodległości, fizycznie bardzo krzepki. Sława strzelecka ich, bynajmniej nie jest przesadzona, wprawa bowiem boerów pod tym względem, jest prawdzie bajeczna; strzał do biegnącego żołnierza na 500 kroków, nigdy nie chybia. Ale nie jest to żołnierz regularny. Boerowie transwaalscy mogą i będą się doskonale bronili na swej ziemi, zwłaszcza, że natura gruntu górzystego i przeciętego głębokimi jarami, bardzo się nadaje do wojny partyzanckiej, w której ludność miejscowa jest wprost niedościgniona.

Zapytany, jakie są uczucia i dążenia narodowe i polityczne boerów z innych krajów Afryki południowej, Oranje, Natalu i Kaplandu? — dr. Marcinkowski tak odpowiedział:

Koloniści holenderscy zjednoczeni są we wspólnem poczuciu jedności narodowej i będą bezwątpienia wspierali Transwaal, ale o wybiciu się np. Kaplandu z pod panowania angielskiego, nie może być mowy. Anglja może ich poprostu blokowaniem portów, które prócz portu Celagos, są w jej rękach, zagłodzić, należy bowiem pamiętać, że zboże w krajach tych jest w pewnej części importowane. Wogóle i położenie Transwaalu, który nie ma dostępu do morza, jest pod tym względem nie do pozazdroszczenia. Natomiast, naturalne granice dla obrony są względnie dogodne. Proszę spojrzeć na mapę: na północy duża rzeka Vaal, na południowym zachodzie granice kraju beczuańsko-brytańskiego łańcuch gór, takiż łańcuch na wschodzie, cały wogóle kraj opasany jest wzgórzami, które łatwo ufortyfikować i przez to wnętrze uniedostępnić. Dla tego wojna może się toczyć długo i zawzięcie, ale rezultat jej dla boerów wydaje mi się wątpliwym.

Takie same zdanie opowiadają i inni znawcy stosunków transwaalskich.

═ Nowy sposób telegrafji.

Po przycichnięciu głosów zachwytu, wywołanych *Marconiego* telegrafią bez drutu, wyłaniają się zwolna różne pomysły minorum gentium, mające na celu uproszczenie telegrafji, lub też wynalezienie nowych jej sposobów.

Na ciekawy, a poniekąd dziwaczny nawet pomysł, wpadli dwaj węgierscy badacze: *Pollak* i *Viragy*.

Telegrafja ich polega na tem, że zamiast znaczków rylcowych, daje aparat przejmujący depeszę znaczki optyczne, w postaci fotograficznie utrwalonych błysków świetlnych, wywołanych większem, lub mniejszem wychylaniem się małego zwierciadełka.

Zwierciadełko to drga pod wpływem prądu elektrycznego, wysyłanego ze stacji nadawczej w większych, lub mniejszych impulsach, odpowiadających alfabetowi *Morsego*.

Zamiast tastru, używa się tu obracającego się walca, który przerywa, lub zamyka prąd elektryczny za pomocą odpowiednio perforowanego papieru. Papier ten, dziurkowany w dwa rządki — jest najdziwniejszą osobliwością całego pomysłu, stanowi on bowiem depeszę. Depesz nie pisze się tu więc, lecz dziurkuje (perforuje) za pomocą osobnej maszynki wlawiaturowej.

Główną trudność stanowi tu perforowanie depeszy. Skoro ta jest gotową — wystarcza kilka minut, aby całe szpalty gazetowe przetelegrafowywać na drugą stację. Fachowcy wyrażają się o tym pomyśle na razie z pewnym sceptycyzmem, z powodu zbytnio skomplikowanej budowy aparatów. *Z. Kor.*

═ Racławice do Ameryki.

Tak jest — nasza panorama: »Bitwa pod Racławicami«, która podczas wystawy i później ściągała tysiące widzów, płynie do Ameryki. Pan Jaworski, z zawodu kupiec, zawarł umowę z konsorcjum stanowiącem właściciel Racławic i wydzierżawił panoramę. aby ją zawieść do Ameryki. Umowa już stanęła pomiędzy p. Jaworskim z jednej strony, a p. dr. Zgórskim, dyrektorem Banku krajowego, jako przedstawicielem konsorcjum, z drugiej. Mocą tej umowy, p. Jaworski z dochodów brutto za zwiedzenia panoramy w Ameryce, płaci 40% dla konsorcjum, 40% dla siebie, a 20% zatrzymuje na koszta, przyczem składa 5000 dolarów kaucji. Wolno mu też jest kupić na własność tę panoramę, a w takim razie, ma zapłacić 20.000 dol. w ciągu trzech lat, w trzech równych ratach.

Dowiadujemy się, że w tym czasie p. Jaworski wyjeżdża z »Racławicami« do Ameryki i zabiera z sobą jednego z tutejszych artystów-malarzy, który będzie artystycznym pomocnikiem p. Jaworskiego.

Echa zamiejscowe.

Z Krakowa.

Mieliśmy tu zjazd farmaceutów. Pozwolę robie zauważyć, że z licznych przemówień panów farmaceutów wynikło jasno, iż tak jak dziś wszyscy, ze swego zawodu nie są zadowoleni i uważają się za wyzyskiwanych. Słyszeliśmy długie jeremiady o tem, że zajęcie ich jest ciężkie, że wynagrodzenie liche, że mało mają wolnego czasu i że nadzieja otrzymania apteki bardzo słaba. Walka o byt, jest dziś w ogóle niełatwa, a pracować ciężko. Trudno też zaprzeczyć, aby żale panów farmaceutów nie były uzasadnione i przyznać trzeba, że zajęcie ich jest ciężkie, ale znów z drugiej strony, nie można się zgodzić z ich wygórowanemi żądaniami. Dziś dla aptekarzy już minęły dawne świetne czasy, dochody ich się zmniejszyły, a kapitał złożony w przedsiębiorstwo, nie przynosi jak dawniej 80% procentu. Tworzenie nowych aptek nie wszędzie jest wskazane mimo, że za ich utworzeniem przemawiałaby cyfra ludności, bo wiemy o tem dobrze, że ludność nasza jeszcze zawsze stroni od lekarzy i od aptek, że otworzenie nawet najpiękniejszej apteki, jej wstrętu nie usunie, bo zawsze woli udać się o radę do jakiegoś znachora, lub starej baby, które to powagi lekarskie, zazwyczaj posiadają własne apteki, lub ordynują lekarstwo.

Niewiemy również, czy upaństwowienie aptek, przyczyniłoby się do polepszenia doli panów farmaceutów, (*) ale niech panowie farmaceuci przypatrzą się z bliska innym instytucjom rządowym, dowiedzą ile czasu w tych instytucjach zajęci muszą pracować i jaką pobierają płacę, a być może, że upaństwowienia zbyt gorąco żądać nie będą. Że tu, owdzie, przy nadawaniu apteki, gra rolę także protekcja, temu dziwić się nie należy, bo protekcja we szystkiem od stworzenia świata odgrywa bardzo ważną rolę, nigdzie wyrugować się zupełnie nie da, a znów panowie farmaceuci nie powinni uważać się za ludzi uprzywiljowanych. Dlaczegoby im, właśnie, miało być lepiej, jak innym? Groźby panów farmaceutów, że urządzą bezrobocie, uważamy za... lapsus humorystyczny...

Bagger na Wiśle już rozpoczął swą czynność i z dumą spoglądamy na tę maszynę. Podnosi ona naszego ducha i o całe niebo czujemy się wyżsi od Lwowa, bo tam mieszkańcy chyba do końca świata takiej maszyny nie zobaczą. (No — przy końcu świeta może przecież zobaczymy. *Przyp. Red.)* Tłumy ludu stają nad brzegami Wisły i przypatrują się pracy tego nieżywego technika, który przyprowadza koryto Wisły do porządku — byleby się nie zapatrywał na ulice krakowskie, bo ładnie wyglądałaby Wisła...

Plantami tedy zdążam do teatru. — *Synowa* doznała bardzo przychylnego przyjęcia. Treścią tej sztuki jest właściwie to, co powiada przysłowie: »Matka męża, głowa węża«. Teściowa miesza się w życie i stosunki swego syna i jego żony, chce nawet nakłonić syna, aby się z żoną rozłączył, lecz w końcu musi ustąpić z pola walki. Sztuka jest pełna dowcipu, a pomimo, że djalogi w niej są nader trudne i subtelne, a *ensemble* jeszcze trudnieszy, nasi artyści odegrali ją świetnie. P. Wojnowska jak zawsze była znakomitą, ale palmę pierwszeństwa pod każdym względem należy przyznać p. Bednarzewskiej, która ujmowała prawdziwym wdziękiem i szczerością. Muszę tu wspomnieć także o wspaniałych toaletach p. Bednarzewskiej, które dla nie jednej z obecnych w teatrze pań, były przedmiotem zachwytu. Może nie na *Synowę*, ale na te toalety — nie jedna z dam przyjdzie drugi raz.

Przykro nam, żeśmy stracili p. Zawadzkiego. Strata to niepowetowana, bo chociaż role po nim objąć może p. Kotarbiński, który posiada ten sam talent artystyczny, co p. Zawadzki a nawet indywidualnie odpowiadający warunkom, to jednak będąc zajęty jako dyrektor sprawami administracyjnemi, nie będzie go mógł w całej pełni zastąpić.

Uroczystość Kościuszkowska wypadła w tym roku bardzo dobrze — w kościele, w teatrze i w sali »Sokoła«, wszędy było pełno. W teatrze na przedstawieniu »Kościuszki pod Racławicami», tylko się bieliło od chłopskich sukman, aż od Sącza, Suchy i Oświęcima. Przeszło 700 włościan zajęło teatr, od dołu, aż do góry, a wychodząc z teatru, byli bardzo wdzięczni swojemu posłowi dr. Danielakowi, że ich nauczył, jak czcić Tadeusza Kościuszkę. Dyrektor Kotarbiński, wspólnie z posłem dr. Danielakiem, już ułożyli repertoar na dalsze przedstawienia dla ludu wiejskiego.

W listopadzie daną będzie *Obrona Częstochowy*, a dalej pójdą: — *Gwiazda Syberji* — *Dla świętej ziemi* — *Emigracja* i t. p. — Starannie wystawiony z przepiękną wystawą *Jan Kochanowski* — nie będzie sztuką sezonową i żywot jej nie długi.

Pięćdziesięcioletnią rocznicę śmierci Fryderyka Chopina staraniem Towarzystwa muzycznego, obchodzono tu nabożeństwem żałobnem w kościele św. Anny i serenadą wieczorną przed pomnikiem Chopina na plantach. Pomnik ubrano w kwiaty i liczne wieńce z Krakowa, Poznania, Paryża i Londynu, zkąd nadeszły listy do inicjatora obchodu, p. Zygmunta Słupskiego. Towarzystwo muzyczne i »Lutnia«, każde z osobna gotują się z uroczystymi koncertami, a i teatr nie zostanie w tyle, bo dyrekcja wystawia sztukę Stępowskiego i Arwina, dla uczczenia mistrza polskiej melodji. W końcu miło mi donieść, że bezrobocie p. Kamińskiego już się skończyło, ku zadowoleniu zwolenników talentu niepospolitego artysty, z pożytkiem dla dyrekcji, że wielka luka spowodowana ubytkiem p. Zawadzkiego, została choć w ten sposób wyrównana.

Smok.

Z Warszawy.

Zajmują się tu gorąco sprawą zabaw ludowych, urządzanych przez komitet specjalny towarzystwa trzeźwości. Komisja ułożyła repertoar na przedstawienia, złożony ze sztuk: *Biedni* Swiderskiego, *Rodzina Dylskich*, *Dziewica Orleańska*, *Twardowski na Krzemionkach*, *Podpory społeczeństwa* Ibsena i *Poskromienie złośnicy* Szekspira. Naturalnie, repertoar ten musi pozyskać zatwierdzenie jenerał-gubernatora.

Sławne z dawnych lat jarmarki łowickie, z każdym rokiem maleją. Owe jarmarki, na których wschód z zachodem dokonywały wielkich obrotów pieniężnych, zupełnie upadły. Kupców zagranicznych, jak to dawniej bywało, po zakupy futer, skór, tkanin jedwabnych, ani dojrzeć, oprócz kilku butnych prusaków, którzy zakupiwszy pewną ilość koni, szybko się z nimi wynoszą. Tegoroczny jarmark na św. Mateusza, był żywym dowodem, że owe świetne czasy, bezpowrotnie dla Łowicza minęły.

Otwarty został w Warszawie, w tak zwanym pałacyku Bagatela, jarmark na owoce. Z powodu złego urodzaju ceny są dosyć wysokie, pomimo tego towaru zbyt ogromny.

W tych dniach, po krótkiej chorobie, zmarł ś. p. Włodzimierz Pląskowski, wybitny pisarz — humorysta polski. Urodzony w roku 1833 we wsi rodzinnej Głodów, w powiecie lipnowskim, po ukończenia nauk, osiadł na roli.

Około roku 1857, ś. p. Pląskowski przyjechał do Warszawy i tu osiadłszy na stałe, objął na własność »Kurjera Świątecznego«, który pod jego kierunkiem, nabył nielada rozgłosu i popularności, zarówno w Warszawie, jak w całym kraju.

Ś p. Włodzimierz Pląskowski był też pisarzem humorystą urodzonym posiłkował się zaś tym wybitnym darem, nie w celu podbudzania w czytelnikach niezdrowych instynktów. Czy to w wierszach wstępnych, czy w wierszykach ulotnych, lub w krótkich utworach prozą, muza jego, zawsze dążyła do uwydatnienia tendencyj szlachetnych i obywatelskich, a humor pod jego piórem nabierał stylu szlachetnego. Zmarły pisarz, nie tworzył dzieł większych, gdyż był to talent, przedewszystkiem podatny do celów i zadań pisma humorystycznego.

W ciągu trzydziestoletniej pracy na zamiłowanem polu, czy jako cięty satyryk, lub szczerze uśmiechnięty humorysta, nigdy nie szarpał cudzej sławy i nie łączył imienia osób ze swymi utworami.

Wyparty przed kilku laty ze stanowiska redaktora i współwłaściciela pisma, które rozwinął, ś. p. Pląskowski zapisywał w »Kurjerze Warszawskim« rubrykę humorystyczną, oraz brał szerszy udział w redagowaniu »Muchy«.

Pracował też niemal do ostatniej chwili swego życia, cichy, spokojny i przejściami życiowemi sterany.

Jako człowiek, cieszył się ogólną sympatją. Niech spoczywa w spokoju!

Z Ciężkowic. Obym był fałszywym prorokiem, ale zanosi się u nas i w całym grybowskim powiecie, na dotkliwą biedę. Wskutek lekkomyślnego wycięcia lasów, deszcze leją zbyt często, klimat się fatalnie zmienił, zimno, a nawet mrozik już nam dokucza. Brak robotnika wielki, a tu ziemniaków, buraków, kapusty, karpieli masa niętkniętych w polu. Groch niejednemu pomarzł, chodzimy w futrach, palimy w piecach, kto ma i może zakłada okna dubeltowe. Bardzo często patrzymy naocznie, jak stacją kolei żelaznej, dla polepszenia losu, odjężdżają za ocean, obojej płci, nasi miejscy emigranci. Łzy mają w oczach, policzki im płoną, pierś podnosi się i wzdycha, rodzice płaczą za nimi, wyciągają ręce do wagonów, w których widać ich najukochańszych; matka, ojciec, braciszek, siostra, klękają i jęczą: »Jagusiu wróć się! Dziecko moje, wróć się!« Kolej świsnęła, pociąg ruszył... Widok to strasznie bolesny!

Kraju mój, czyś ty już taki biedny, że odarty, wiek temu przez nikczemników, z purpury królewskiej, dziś przypatrywać się musisz tym rozdzierającym scenom?! Ziemio nasza święta, Sejmie, Wydziale krajowy! czołgam się na kolanach przed wami i błagam: ratujcie ten poczciwy, a nieszczęśliwy lud, pomagajcie mu, niech nie opuszcza nas, swoich siedzib, swoich świętości, bo lepiej umrzeć, niż przyglądać się takim dantejskim obrazom!

A tu po stolicach miljony kradną; urodzonych wałkoniów i próżniaków wspierają, jakby to był jakiś nawóz uprzywilejowany...; tu protegujący tylko rodzają stypendja jak i komu chcą, nie oglądając się na myśl fundatorów, nie poszukując zdolnych, pracowitych biedaków naszych po gimnazjach i uniwersytetach!...

Przejdźmy do czego innego.

Kościół tutejszy, pamiątka po Kazimierzu W. ma być, może niedługo, w każdym razie nie prędzej, jak w przyszłym wieku, przebudowany, rozszerzony i tak należycie urządzony, że wszyscy będą z niego zadowoleni.

(*) Nigdy w życiu! *(Przyp. Red.)*

Oby się to stało, jak najprędzej.

W sąsiedztwie kościoła stoi wzorowa, co do nauki i sił inteligentnych, szkoła ludowa, która tworząc przyszłych pracowników i obywateli kraju, warta jest, aby przed nią uchylić czoła — niżej, niż przed różnymi ekscelencjami, obiecującemi, dotąd na kpiny, podwyższyć pensje nauczycielskie, temu najważniejszemu stanowi w świecie. Bez ekscelencyj — można wytrzymać, bez nauczycieli — nigdy!

Ciężkowiczanie, mają nawet swą dziatwę między słuchaczami uniwersytetu jagiellońskiego. Niegdyś, broniąc cywilizacji, pracowaliśmy szablą na łbach mongołów, tatarów, i turków. Dzisiaj, gdy niektóre cywilizowane państwa, jakby w nagrodę za to, mszczą się na nas i chcą nas znieść z powierzchni ziemi, dzisiaj, ta dziatwa nasza, ci zacni młodzieńcy nasi, z niemniejszym zapałem pracują nad pandektami, chemią, historją, literaturą i wielu innymi podobnymi przedmiotami, pewni będąc, że jak ich pradziadowie, przed wiekami, godnie piersiami swemi, osłaniali kraj i ludność przed samowolą rozpasanych wrogów, tak oni, dziś, lub jutro, ozłocą, ten swój kraj, takimi blaski, jak promienie gwiazd ozłacają pomniki Kopernika, Mickiewicza, groby Moniuszki, Szujskiego i wielu innych.

O sąsiedniej z Ciężkowicami Kąśnie dolnej, własności pianisty Ignacego Paderewskiego, doniosę obszerniej, w następnym liście.

Z przyjemnością dzisiaj zakończam faktem, że kasyno ciężkowickie zaprzestało prenumeraty, nawet jednego tylko pomiędzy polskiemi, pisma niemieckiego. Co nam po niem!...

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Teatr. Wizerunek: autora *Buntu Napierskiego*, »poematu dramatycznego«, przedstawionego poraz pierwszy na lwowskiej scenie w ubiegłą środę podajemy na jednej z poprzednich stronnic *Tygodnika Narodowego*. Jan Kasprowicz należy do najsympatyczniejszych i do najbardziej utalentowanych poetów z tej nie licznej gromadki młodej generacji literackiej, która społeczeństwu polskiemu służy z całej duszy i ze wszystkich sił swoich. Można się nie zgadzać na pewne kierunki polityczne, czy społeczne takiego autora, ale szanować go należy i kochać potrzeba, bo w tem, co pisze, drga nuta szczerości i zacnej, dobrej wiary, która zniewala wszystkich tych, co zdążają różnemi drogami do wspólnych celów...

Ta szczerość, ta zacna wiara w ideały narodowe, płomienistymi znakami talentu poetyckiego buchają z *Buntu Napierskiego*. Prawda, że jest to »poemat dramatyczny«, któremu niezawodnie brak scenicznej wypukłości i silnej, a spoistej, skrystalizowanej akcji dramatycznej — ale w każdym razie jest to dzieło niepospolitego, niezdawkowego talentu, który odczuwa to wszystko, co kipi w sumieniu polskiem i ogarnia skrzydłami szlachetnej duszy szeroki horyzont ideałów narodowych... *Bunt Napierskiego*, choć to dzieło na tle historycznem osnuta, jest sztuką na wskróś tendencyjną z pewnem, nawet, jaskrawem zabarwieniem filozoficzno-społecznego rezonerstwa. To osłabia w niej naturalną akcję dramatyczną, ale nie zmniejsza literackiej wartości. Kasprowicz, mimo dużego talentu, jakim rozporządza, nie złamał też pewnego szablonu poetyckiego. Skoro w dramacie jest mowa o krzywdzie ludu, dlaczego bohater nie jest Maćkiem, albo Bartkiem, co orze zagon i krwawy pot obciera z czoła, lecz musi być, koniecznie cudzołożnym synem królewskim, który ostatecznie robi to samo, co z nim zrobili, bo skrzywdził biedną chłopską dziewczynę: Hanusię... W czynach tego Napierskiego nie odczuwa się syna ludu, lecz wykolejonego awanturnika ambitnego i nawet małostkowego. Bohaterstwo jego szwankuje na każdym kroku, a deklamatorskie oracje w końcu aktu 3. i pewien ton minorowy expiajacyjny, nie podnoszą go. Postacie ze świata ludu góralskiego przepyszne są rysowane. Z każdej z tych postaci wygląda prawdziwy bohater ludowy. Takiego Łętowskiego trzeba było postawić na czele dramata. Zdrowie i siła tryska z tej postaci. Z początku dzielnie zarysowała się Hanusia, potem popadła w jakąś ckliwą dramatyczność — szkoda.

Sztuka świetnie jest wystawioną i wybornie wyreżyserowaną. Sceny zbiorowe przedziwne wywołują złudzenie.

Pani Stachowicz w pierwszym akcie energiczną i pełną charakterystyki ludowej grą, interesowała, w trzecim, musi schodzić do pewnego szablonu dramatycznego, ale tu już nie jej wina.

Pan Sosnowski gra tytulową rolę z siłą i z dużym rozmachem dramatycznym.

Z ogromną prawdą i świetnie, co się nazywa, gra p. Chmieliński górala Łętowskiego.

Saluchę, bardzo umiejętnie grała pani Gostyńska, ale postać ta wymyka się z zakresu ról charakterystycznych — przynosi ona z sobą tragiczność głęboką...

Gwarę góralską doskonale opanowali wszyscy artyści z pośród których na pierwszy plan wybiegli pp. Rybicka, Różańska, Feldman, znakomicie grający żyda, Hierowski, Walewski, Wysocki, Jaworski, Antoniewski, Rożański, Kwiatkiewicz, Nowacki i Neuman.

Publiczność serdecznie zamanifestowała swoje uznanie i sympatję dla autora, bo wywołała go kilkakrotnie i obdarzyła pięknymi wieńcami. Po przedstawieniu grono artystów i dziennikarzy podejmowało autora bankietem w salonach Koła lit. artystycznego, na którym wznoszono serdeczne toasty. *Iks Ypsylon.*

Operetka. Teatr przepełniony, nie wyłączając kosztownych lóż, co znacznie przyczynia się do ożywienia przedstawienia. Galerja i trzecie piętro biorą żywy udział w przedstawieniu, publiczność się bawi i opuszcza teatr zadowolona.

Co dają? operetki: *Donną Juanitę*. Souppego, *Noc w Wenecji Straussa*, *Bettinę*, Audrana, Autor donny Juanity, jak go jeden z krytyków lwowskich, nazwał „mistrz" — był rzeczywiście mistrzem w przyswajaniu sobie obcych motywów. Idąc za popędem czasu, brał co się dało i gdzie się dało. Wyzyskiwał opery i mniej znane operetki tak, że nawet sławny i popularny marsz z *Lekkiej kawalerji*, jest sumiennie przepisany z niegranej operetki Offenbacha: *Tromb-al-kh'azar*. Nie zawsze jednak »mistrz« bywał tak sumienny w przepisywaniu. Zazwyczaj starał się w dzieło pod swojem nazwiskiem wydawane, tchnąć nieco swojego ducha — a że był wybornym kapelmistrzem, ogromnie fachowo wykształconym, doskonale znającym się na instrumentacji, a ostatecznie sam nie był pozbawiony talentu w komponowaniu piosnek i tańców, więc też bardzo często takim sposobem powstały jego operetki, cieszące się znacznem powodzeniem wśród niewybrednej publiczności.

Nie brak w nich również chórów, skomplikowanych akompaniamentów, pretensjonalnych finałów i innych tym podobnych aspiracyj operowych, których np. pełno jest w *Donnie Juanicie*. Dodawszy do tego libretto dość dowcipne i żywe, będziemy mieli operetkę wcale nie złą. Inaczej rzecz się ma z dziełem drugiego »mistrza« Bezmyślność libretta, idzie w parze z bezmyślnością i brakiem inwencji w muzyce, będącej lichą kleconką niezliczonej ilości walców, z których najpiękniejszym ma być »kobieta to cudny kwiat», trzymany w mocno katarynkowym stylu. *Noc w Wenecji*, stoi zatem daleko niżej, a raczej nie da się nawet porównać z *Donną Juanitą*. Zkąd zatem to powodzenie? Powodzenie robi staranna wystawa, piękne kostjumy, doskonała reżyserja, a co najgłówniejsza, przepyszna gra naszych artystów. Dodajmy do tego wyborną parę baletową, wprowadzającą na scenę żywioł elegancji i wdzięku, a będziemy mieli tajemnicę powodzenia wznowionych operetek.

Od niemieckich operetek, przejdźmy do francuskich, których próbkę dała nam dyrekcja wznawiając *Bettinę*, czyli *Dziecię szczęścia*. Jakaż kolosalna różnica. Ile świeżości, wdzięku, elegancji w tej muzyczce na pozór tak lekkiej, a przecież nie pozbawionej głębszej myśli, o ile daje nam motywa ludowa, ujęte w wykwintną formę. Zresztą, ile dowcipu w samem librecie!... »Bettina«, dziewczę z ludu, pełne energji i uczucia znalazła wyborną przedstawicielkę w pannie Schuppównie. Partja ta, wypadła tak, co do gry, jak i co do śpiewu bez zarzutu, a byłaby wypadła jeszcze lepiej, gdyby nie za niski głos pana Boguckiego, dla którego partja Fippa jest stanowczo za wysoka i który tylko dzięki swojej muzykalności i umiejętności używania głosu wyszedł z niej zwycięzko.

Po za tą usterką, przedstawienie wypadło bez zarzutu, a każdy z artystów dostrajał się w zupełności do przodującej pary. Na szczególne uznanie zasługują chóry, wybornie zorganizowane i wyreżyserowane. Zbytecznem byłoby dodawać, że para warszawskich tancerzy, która w krótkim czasie zdołała sobie zjednać zupełną sympatję i uznanie publiczności, była zmuszoną wobec frenetycznych oklasków powtórzyć swój taniec, ku zadowoleniu nie tylko »wyższych sfer«, ale parteru i lóż.

W *Nocy Weneckiej* debiutowała p. Łopatyńska. Brak wszelkiej finezji i lekkości, tak niezbędnej w operetce, wadliwa dykcja, natomiast głos dźwięczny, silny o rozległej skali cechują tę artystkę. Mimo braku wszelkiej metody, umie ona posługiwać się nim dosyć szczęśliwie i wywoływać efekty, które zjednały jej dość serdeczne przyjęcie. Uzyskanie rzeczywistego powodzenia, wymagałoby znacznego nakładu pracy, około usunięcia rażących wad w grze i dykcji, a kto wie, czy na podjęcie jej, nie jest cokolwiek zapóźno... *Inny.*

= *Zając*, Adolfa Dygasińskiego, powieść, Warszawa, in 8⁰, str. 261. Jan Fiszer. Głównym bohaterem powieści jest ów zając, wymieniony w tytule. Autor opowiada jego losy od chwili, w której świat ujrzał, aż do zgonu, spowodowanego wystrzałem jakiegoś partacza. Był to zaś zając gracz nielada: przez długi czas wydzierał się śmierci, a raczej uciekał przed nią, aż zmogły go nietyle fortele myśliwych, ile wiek podeszły. Obrazową i bardzo zajmującą historję owego zająca przeplatają uwagi, mające charakter niejako humorystyczno-filozoficzny. stanowiące niepoślednią ozdobę książki. Z historją zająca splata się też historja kilkorga ludzi; przedewszystkiem strzelca dworskiego, a następnie innych niższych oficjalistów wiejskich. Wszystko przedstawione z właściwym autorowi, znanym i uznanym talentem.

Przegląd polityczny.

Stroi się ciągle w Austrji fortepjan polityczny — ciągle się stroi, co raz według innej metody i zawsze jakoś gra fałszywie. Nie umieją go stroić i nie wiedzą, jak stroić, choć stroicielów jest gromada i nawet dosyć ciekawych, zaglądających we wszystkie dziurki i probujących wszystkie kółeczka.

Zebrała się tedy Rada Państwa i, oczywiście, nie miała jeszcze czasu, aby coś uradzić, ale kto wie, czy radząc od wieczora do poranku i od poranku do wieczora, jak by to już wyjść z zaczarowanego koła, w które wplątały ją niemcy śpiewający przy kuflu: „O du mein Oesterreich!“ i rozumiejący Austrję tylko pod formą hegemonji niemieckiej, i łupienia dobytku duchowego i materjalnego z drugich narodowości.

Gabinet dzisiejszy ma być „przejściowy“ — ciekawi jesteśmy, jaki też gabinet oddłuższego czasu w Austrji nie był takim? Kto na tem zyskuje? Nikt, tylko ci panowie, co przejdą się przez gabinet ministerjalny, a potem do śmierci pakują do kieszeni własnej „rentę“ dożywotnią za nic więcej, tylko za to, że się po gabinecie przespacerowali i, że sprawiali im cięgi po rozmaitych dziennikach nie tak znowu bolesne, aby „przejście“ gabinetowe nie należało do przyjemnych wspomnień zwłaszcza, gdy się ma do osłody życia sześć tysięcy reńskich rocznie za ten wiatr, co po Austrji wieje...

Pozostawmy więc świeżo zebranej Radzie Państwa czas do pracy, a właściwie awantur parlamentarnych, bo nietylko, że się na nie zanosi, ale w tym stanie rzeczy są one nieuniknione. A już widocznie ten „przejściowy“ gabinet przechodzi się bardzo niespokojnie i ogląda się na wszystkie strony, jakby to przejść, skoro pan minister-prezydent na ratunek „zaprosił“ do Wiednia marszałka krajowego hr. Badeniego a „zawezwał“ naszego namiestnika hr. Pinińskiego. Zdaje nam się, że i „zaproszony“, a „zawezwany“ nie wiele poradzą, choć to idzie o Koło polskie, bo jakkolwiek nasza delegacja odgrywa w parlamencie austrjackim decydującą role — ale przyczyna sytuacyjnego zamieszania tkwi daleko poza Kołem.

Wyłoniła się też znowu sprawa wyodrębnienia Galicji nie nowa, co prawda, ale może więcej na czasie, jak kiedykolwiek indziej.

Jest u nas dość duże grono polityków, którzy sprawę wyodrębnienia Galicji rozważają tylko ze stanowiska ekonomicznego i ciągle im się zdaje, że gdybyśmy byli pozostawieni sami sobie, tobyśmy paznogcie z głodu obgryzali.

Co to za ciasny i co to za płytki — co to za wązki zdrój ekonomicznej mądrości!...

Sprawa ta, przedewszystkiem, ma ogromne i doniosłe znaczenie polityczne, a ta ekonomiczna jej strona, nie przedstawia, nawet, końca własnego nosa.

Dobrobyt, rozwój ekonomiczny idzie w parze z pewnem życiem politycznem, które udziela sił ożywczych we wszystkich kierunkach.

Co do nas wyodrębnienie Galicji, w naszych narodowo-politycznych stosunkach uważalibyśmy za fakt niezmiernie ważnej doniosłości. Do tej sprawy wrócimy niebawem.

Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Ze statystyki samobójstw. Liczba samobójstw w Prusiech powiększa się, gdy bowiem w r. 1888 było 9,400 samobójstw, odpowiednia liczba w roku 1898 wyniosła 11.014, co atoli wobec wzrostu ludności stanowi nieznaczne powiększenie: z 19.5 do 20.6 na 100.000 mieszkańców. W stosunku do ludności było w roku 1897 najwięcej samobójstw, bo 31·0 na 100.000 w królestwie saskiem, najmniej zaś 7·6 w W. Ks. Poznańskiem. Co do innych krajów europejskich, to w stosunku do ludności, najwięcej bywa samobójstw w księstwie Monaco 33·2 na 100.000 ludności, potem w Danii 25 0, we Francji 23·7, w Szwajcarji 21·4, w Belgji 23·0, w Hiszpanji zaś tylko 1·6, a w Bośniji z Hercogwiną nawet 1·5. Co do stosunku samobójstw u mężczyzn i kobiet, to najwięcej samobójczyń 61·6 na 100 samobójców, przypada w Japonji, 50 w księstwie Monaco, najmniej zaś w Szwajcarji, bo tylko 13·2. Co do pory roku, najwięcej samobójstw w Prusiech, Wirtembergji; Francji i we Włoszech przypada w czerwcu, najmniej w grudniu. Inne miesiące zajmują stanowisko pośrednie w ten sposób, iż liczba samobójstw powiększa się w grudniu do czerwca, a maleje od czerwca do grudnia.

Kat we Francji. Godność ta jest tam przeważnie dziedziczną. Istniały też formalnie dynastje katów. Sławna dynastja Cençon piastowała swój urząd od 1685 do 1847 roku i wydała siedm pokoleń katów. Znakomitością w rodzinie Cençonów był Karol Henryk, który gilotynował Ludwika XVI. Dochody jego dochodziły do 30,000 franków rocznie. W czasach terroryzmu, w roku 1793, był we Francji jeden kat tylko. Dopiero konwent dekretem z dnia 13 czerwca wymienionego roku nakazuje, aby każdy departament postarał się o osobnego kata. W r. 1870 powrócono do starego porządku i znowu cała Francja otrzymała jednego tylko kata. Ostatni z Cençonów usunięty został za ta mianowicie, że przy pewnej operacji źle założył nóż gilotyny. Po nim nastąpił Heindrick. Był to typ kata gentlemena. Bolesną misję swoją spełniał w czarnym surducie i białym krawacie. Po każdej operacji kąpał się w łaźni i zamawiał mszę za duszę straconego. Po Heindricku nastąpił Mikołaj Roche, który w pięciu latach swojej działalności stracił 173 osób. „Nie znajdą nikogo, ktoby to lepiej umiał robić“ — pisała żona Roche'a do ministra sprawiedliwości, prosząc o emeryturę. W dawnych dobrych czasach, kaci otrzymywali wynagrodzenie od sztuki. W tym celu ułożono nawet specjalną taksę: za ugotowanie przestępcy w maśle 48 franków, za rozrąbanie go na kawałki żywcem 30 franków, za ćwiertowanie 36 franków, za spalenie czarownicy 28 franków, za torturę 4 franki, za oderżnięcie języka, uszu i nosa 10 franków. Za naszych czasów pensję kata unormowano prawem z 25 listopada 1870 r. Główny kat otrzymuje 6.000 franków rocznej pensji, jego dwaj pomocnicy pierwszej klasy - po 4,000 franków. Dwie gilotyny winny być zawsze w pogotowiu. Na wypadek egzekucji na prowincji, kat i jego pomocnicy jadą I. klasą na koszt państwa.

W celu przechowania kapusty w głowach na zimę i do wiosny, najlepiej jest dołować ją w doły, w tym celu umyślnie wybrane, lub w skrzynie inspektowe puste. Ustawia się kapustę, wyrwaną z głąbiem i z korzeniem, po oberwaniu zbytecznych liści, głowa obok głowy, korzeniem ku dołowi stojąco — potem przykrywa się dół taki płaski — naprzód gałęziami i słomą, wreszcie — gdy już przymrozki nastają silniejsze — liśćmi i ziemia Kapusta zachowuje się w ten sposób doskonale do wiosny.

Szkodliwość naczyń emaljowanych. Tyle nasłuchaliśmy się o szkodliwości źle wybielonych rądli, tyle opowiadano o zatruciu ołowiem, że nareszcie, skoro w użycie weszły kuchenne naczynia emaljowane, można było odetchnąć swobodniej.

Zatruwać nas będą w dalszym ciągu, starem masłem, margaryną i t. p.. ale już co, się tyczy ołowiu i miedzi, basta!

Tymczasem profesor Gustaw Allars zwraca uwagę na nowe, grożące ze strony emaljowanych rynek i rądli niebezpieczeństwo. Oświadcza, że i w emalji ołów się znajduje. Ale to mniejsza, jest on bowiem pod postacią tak trudno rozpuszczalną, że można być pod tym względem zupełnie spokojnym. Ale gorszą jest druga okoliczność. Emalja łatwo pęka, oddziela się, a ostre, kanciaste kawałeczki, spożyte z potrawami, mogą wywołać przedziurawienie kiszek, zapalenie otrzewnej, wyrostka robaczkowatego i t. p. I rzeczywiście, przeglądając naczynia kuchenne, po niedługiem nawet użyciu, widzimy uszkodzoną emalję.

Przy gotowaniu wody, nigdy to nie nastąpi, ale jeśli poczynimy topić masło, albo jaki inny tłuszcz, zobaczymy, że emalja pęka i oddziela się w malutkich blaszkach, zwłaszcza w środku rądla, gdzie płomień działa najsilniej. Pochodzi to ztąd, że temperatura przewyższa o wielesto stopni, a nierówna rozszerzalność żelaza i emalji powoduje gwałtowne ich oddzielanie się od siebie. Do stu stopni emalja może ową rozszerzalność wytrzymywać, wyżej tylko wyjątkowo dobre naczynia zostają nieuszkodzone.

Nie sądzimy, aby spożyte drobne kawałeczki mogły być tak bardzo szkodliwe.

Są jednak wypadki, że nawet pestka winogronowa, wywoływała zapalenie wyrostka robaczkowatego. Widziano w przewodzie pokarmowym uwięzłe w śaianach kiszek małe drzazgi z trocin, cząstki gipsu i ości, pochodzące z sucharów, przygotowanych z fałszowanej różnemi przymieszkami mąki. Jeśliby więc można uchronić się do naczyń emaljowanych, byłoby to wielce pożądanem. Rada na to: albo wynaleźć taką emalję, któraby nie pękała, albo używać naczyń emaljowanych do grzania wody i wogóle do gotowania, zaś do smażenia nie używać.

Odpowiedzi od Red. i Adm.

Pan F. we Lwowie. „Ostatnich myśli umierającego“ drukować nie możemy, bo na utwory wierszem rymowanym, takie długie, *Tygodnik* miejsca niema. Wiersze krótkie humorystyczne, prosimy uprzejmie nadsełać, a przedewszystkiem prosimy o prozę w rodzaju tych, jakie Pan już przysełał i jakie z przyjemnością drukowaliśmy.

Str. Rozpoczęliśmy w dzisiejszym numerze.

L. G. w K. Numer zwykle zamykamy w piątek i tylko czasem coś aktualnego jeszcze w piątek składa się—ale właściwie, powinno być już wszystko nadesłane do redakcji w środę.

Brazylijczyk. Prosimy — po przeczytaniu zobaczymy.

Ziu—ziu. Nie do druku.

„Kupka“ prenumeratów. Jak panowie widzicie staramy, się ale w naszej „ściślejszej ojczyźnie“ trzeba się ciągle brać na pazury.

Kl. w Paryżu. Dobrze.

B. R. w Chicago. Wysłaliśmy.

Towarzystwo w Konstantynopolu. O dokładny adres prosimy.

Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.